

Książki dla wszystkich.

№ 415

PRAWDA A PRACA

Cena 15 kop.

Klemens Junosza

ORYGINAŁ Z PISKORZEWA

ORBAZEK Z NATURY

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

Kraków: S. A. Krzyżanowski

w Galicji 40 hal.

73.
KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH.

Klemens Junosza

Oryginał z Piskorzewa

OBRAZEK Z NATURY.

WARSZAWA
NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA

1908

Kraków: S. A. Krzyżanowski.



72999

k-52/77/79150

Stare żydowskie przysłowie powiada, że każde miasto ma swego warjata. Ponieważ przysłowia wogóle są mądrością narodów, ponieważ mądrość żydowska ma być podobno lepsza od innych, i ponieważ mądrość z prawdą niekiedy chodzi w parze, — więc trzeba przysłowiu dać wiarę.

W miasteczku Piskorzewie było warjatów aż dwóch. Jeden, jeżeli się tak wyrazić wolno, etatowy, istniejący, zda się, dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia — drugi zaś prywatny, wolno praktykujący, ot taki sobie warjat, który popełnia głupstwa dla przyjemności osobistej i na własny rachunek.

Pierwszy, ponieważ istniał dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia, był oczywiście żydem. Miał idjotyczny wyraz twarzy, rudawe włosy i bródkę, jeden

pejs takiegoż koloru, oczy baranie, wytrzeszczone, twarz upstrzoną piegami. Chodził bosy, obdarty, w łachmanach, sypiał zimową porą w przedsiönku bóżnicy, latem na dworze, a żył tym, co mu miłosierni ludzie, dość skąpo zresztą, dawali.

Letnią porą włóczył się po lasach, zagłądał do ogrodów, gdzie zdarzało mu się niekiedy ukraść trochę rzepy, cebuli, lub owoców — i to była najwyższa rozkosz tego biedaka.

Gdy się ukazał na ulicy, biegła za nim z krzykiem gromada bachorów, obrzucała go kamykami lub błotem, a on to z filozoficznym spokojem przyjmował, jakby rozumiejąc, że stanowisko warjata miejskiego, oprócz skąpej jałmużny, daje także obelgi i szturchańce. Każde stanowisko ma swoje dobre i złe strony, — jedno daje dużo honoru, a mało pieniędzy, inne naodwrot, dużo pieniędzy, a mało honoru, a są i takie, co ani pieniędzy, ani zaszczytów nie przynoszą.

Ostatecznie warjatowi temu nie było tak najgorzej na świecie: dostawał on

od nabożnych żydówek śledziowe główki, od obywateli bezżębnych skórki chleba, niekiedy ktoś hojniejszy dał mu kilka gotowanych kartofli, a Jojna Meir Grinszpan, członek kahału i mąż wielce miłosiernego serca, który nigdy ubogiego w potrzebie nie opuścił, częstował go przy każdym spotkaniu tabaką.

Byli nawet i ludzie, którzy zazdrościli szczęścia szaleńcowi i spoglądali na niego z zawiścią, a trzeba przyznać, że mieli do pewnego stopnia słuszość.

Dla nędzarza-szaleńca, lub nędzarkaleki jest jałmużna, są szpitale; przed nędzarem-przestępcą otwiera gościnne podwoje kryminał, urządony po europejsku, z pewnym nawet komfortem i wygodą dla swych pensjonarzy — nędzarcz zaś, nie kaleka i nie złodziej, pozostawiony jest własnemu losowi.

Wielkie to jeszcze szczęście, jeżeli ów biedak przyszedł na świat w chacie wiejskiej, i jeżeli pochodzi ze zwyczajnej chłopskiej rodziny; taki ma zdrowy grzbiet, zdrowe ręce, nie myśli o światłych przodkach, ani o niebieskich migdałach i nie skompromituje się, wzięwszy

do rąk siekiere, łopate, widły, lub podobne ordynaryjne narzędzia. Taki pracuje, zarabia — i ostatecznie, ma co jeść, ma w czym chodzić i gdzie się przespać. Takiemu dobrze, — ale nędzarz, który ujrzał światło dziennie w pięknym mieście Piskorzewie, nędzarz, pyszniący się szeregiem uczonych przodków, którzy nigdy nie splamili swych rąk ordynaryjną robotą, nędzarz delikatny, ma zupełną rację zazdrościć losu szaleńcowi żyjącemu z jałmużny.

Berek Przepadło, inaczej zwany Berek «hamszuga», lub poprostu «warjat», nie zdawał sobie zapewne sprawy z położenia, w jakim się znajdował, nie narzekał na los swój i przepędzał czas bardzo wesoło, i o ile się zdaje—bez troski.

Opinię miał ustaloną, nikt nie nazywał go ani małym, ani wielkim warjatem, mówiono o nim tylko, że jest warjat zwyczajny, mający w sobie akurat tyle nieszkodliwej głupoty, ile potrzeba dla warjata tak małego miasta, jak Piskorzew. Szewcy piskorzewscy nie wyrabiali balowych lakierów, krawcy nie szyli frakowych garniturów, dlaczegoż-

by piskorzewski warjat miał popełniać nadzwyczajne jakieś wybryki!

.....

Co do drugiego warjata, opinia publiczna miasta Piskorzewa miała twarde orzech do zgryzienia i wahała się ona długo w jedną i drugą stronę, jak rozbujała huśtawka, zanim wydała wyrok, oparty na licznych, a różnorodnych motywach. Istotnie, co do Berka, odrazu wiedziano, czego się trzymać, dość było tylko zawołać głośno: «hej warjat!» a on zaraz się oglądał i wyciągał rękę po dtek; na tamtego zaś trzeba było mówić: «panie dobrodzieju» i w oczy przynajmniej traktować go jako człowieka, posiadającego wszystkie pięć klepek w głowie...

Trzeba przyznać opinii publicznej miasta Piskorzewa, że wydała wyrok po długim namyśle i na podstawie szeregu faktów, z których każdy wzięty oddzielnie, był co najmniej dwuznacznym, a wszystkie razem tworzyły istny bigos psychopatyczny, — i wprowadzały inte-

ligiencję piskorzewską w coraz większe zdumienie.

I to bowiem wiedzieć należy, że grupa ludzi, która zawyrokowała o stanie umysłowym pana Dezyderego, składała się wyłącznie z osób inteligentnych. Ciemne pospólstwo miało o tym człowieku zupełnie inne przekonanie.

Kiedy pan Dezydery przybył do Piskorzewa i kupił ładny domek z ogrodem, położony na uboczu, przy samej prawie rogatce, zaczęły się zaraz różne gawędy.

Zdawało się, że w powietrzu unoszą się znaki zapytania i wykrzykniki.

Dlaczego kupił? Dlaczego w Piskorzewie, a nie gdzieindziej? Dlaczego na uboczu, a nie w rynku, lub na principalnej ulicy? Co w tym jest?

I w rzeczy samej cóż to? Ni stąd ni zowąd zjawia się jegomość jakiś, przyzwoicie ubrany, niebiedny, nabywa dom, sprowadza się i mieszka. Na pozór niby nic, ale zastanowiwszy się głębiej, można przypuszczać Bóg wie co.

Przebudowuje dom z gruntu, ozdabia go, ze zwykłej chałupy robi coś w ro-

dzaju willi, jak gdyby nie w Piskorzewie, lecz w Szwajcarii. Robotnicy opowiadają cuda o ścianach, oknach, obiciach, posadzkach, piecach; mówią, że nawet w aptece nie jest tak bogato i pięknie, jak w tej willi... Buduje w podwórzu obszerną piwnicę i lodownię, — to jest podoba mu się mówić, że to piwnica i lodownia, któż jednak zaręczy, czy w rzeczywistości nie będzie to potajemna gorzelnia, albo fabryka fałszywych pieniędzy!

Bywały już i takie wydarzenia.

Sprowadza ogrodnika, burzy cały ogród, sadzi drzewa rozmaite, brzoskwinie, wino, zakłada szparagarnię, inspekty, zaprowadza masę kwiatów w oszklonym budynku.

Kpi, czy o drogę pyta? Kogo chce łudzić? bo, jeżeli inteligiencję piskorzewską, to się źle wybrał, — ona się w pole wprowadzić nie da.

Urządził się już zupełnie — mieszka. Latem prawie ciągle pracuje w ogrodzie, zimą siedzi w swoim gabinecie i czyta. Ma mnóstwo książek, dwie szafy pełne tej bibuły, trzyma też kilka pism war-

szawskich i parę zagranicznych; nie bywa nigdzie, w karty nie gra, nie ma żony ani dzieci—i trzyma gospodynię, babę starą, opryskliwą i złą jak djabel. O tej gospodyni mówiono przez kilka tygodni w Piskorzewie.

Jedna dama, z grona inteligencji, i to inteligencji grubszej, albowiem mówiła po francusku, wyczytała w jakimś starym romansie nadzwyczajną historję... i tak była nią wzruszona, że przez całą noc oka zmrużyć nie mogła. Rano wstała bardzo wczesnie, ubrała się i pobiegła do najbliższej sąsiadki.

— Powiem pani coś nadzwyczajnego — zawołała zaraz na wstępie, — ale sekret!...

— O, znasz mnie pani, zem do tego jedyna...

— Tajemnica... dopóki się wszystko nie wyjaśni—słowo?

— Choćby dziesięć...

— A więc... posłuchaj mnie pani...

— Słucham, słucham...

— Czy tu nikt nie wejdzie?

— Nikt a nikt...

— Jednak dla pewności, zamknij pani

drzwi na klucz... a teraz zaczynam. Wygląda to może na bajkę, ale uważaj pani: pewien wielki rozpustnik, choć już nie pierwszej młodości...

— Ach! domyślam się... Dezydery!

— Nie... hrabia de... de, jakże go tam, de la Sauce-Piquante.

— Hrabia! więc on jest hrabią... Czy wie pani, że mnie odrazu to na myśl przyszło...

— Ależ on jest zbrodniarz!

— O i to zauważyłam od pierwszego wejrzenia... ale dalej, mów pani dalej, na Boga!

— Powoli — rzekła dama — dowiesz się pani pięknych rzeczy. Otóż pan hrabia de la Sauce-Piquante upatrzył sobie w sąsiednim zamku cudnej urody panniekę, z porządnej rodziny, baronównę de Tourtoureille — i wykradł ją z domu rodziców.

— Ach! tot!

— Dziewczyną miała szesnaście lat...

— Szesnaście!...

— Nawet niezupełnie skończone... Nie będę pani opowiadała szczegółów, dość, że zbałamucił dziecko, wykradł, wy-

wiózł, i oboje jak kamień w wodę... przepadli. Ojciec poruszył wszelkie sprężyny, zawiadomił policję, sprowadził najzdolniejszych agentów z Paryża...

— I cóż moja pani, złapali?

— Nie... wykryło się dopiero w kilka lat później...

— Jakim cudem?

— Niech pani słucha uważnie... Do pewnego miasteczka w południowej Francji przybył jakiś pan, bardzo poważny, zdaje się dość zamożny... niby rentjer, niby ex-profesor... niby coś, nabył dom.

— Dezydery!

— Ja nie powiadam, że to on. Nabył dom, odnowił go, wyelegantował, urządził z wielkim szykiem.

— Ależ to Dezydery!

— Powtarzam pani, że tego nie twierdzę... Wyelegantował dom i zamieszkał w nim ze starą, brzydką jak nie-szczęście, gospodynią.

— Wojciechowa!

— Czekajże pani... mieszkał przez kilka lat... aż jednego razu, przypadkiem, wykryła się prawda. Młody chłopiec, syn węglarza, skończony łotr, dostał się

do ogrodu owego jegomościa już późnym wieczorem, właściwie nawet w nocy, po prostu, aby kraść gruszki.

— No, no...

— Wystaw sobie pani, siedzi na drzewie, wtym... w oknie na górze, błysnęło światło. Naturalnie chłopiec przytulił się do gałęzi i czekał... Czeką tedy, patrzy i widzi doskonale co się dzieje. Do pokoju weszła z bogatym kandelabrem w rękę stara gospodyni i zasiadła przed lustrem.

— O stara sekutnica! co za bezczelność, co za bezczelność! Doprawdy, niedługo sługi będą już chyba przed ołtarzami siadały!!

— Więc zasiadła sobie przed lustrem i wyobraź pani sobie, zdejmuję z głowy czepiec i ogromną siwą perukę...

— Niepodobna!

— Aha... a z pod peruki sypie się kaszka pysznych blond włosów.

— Jezus Marja!

— Następnie zdejmuję z twarzy maskę i okazuje się buzia tak piękna, tak urocza...

— A stary łajdak! Moja pani, moja

najdroższa pani, więc ta Wojciechowa, któżby się spodziewał?!—a wie pani, że ja od pierwszego wejrzenia poznałam, że w tej babie jest coś nienaturalnego... coś takiego... ruchy zanadto żywe, głos... I któż to odkrył? moja pani, kto?

— Jeszcze nikt nie odkrył, jest to tylko moje przypuszczenie... Sekret, sza, trzeba obserwować i zdemaskować!...

— Obserwować i zdemaskować!...

— Ale jak?

— Nic łatwiejszego, pilnować bacznie, przecież się kiedyś zdradzi.

Gospodyni pana Dezyderego, powróciwszy z targu, przystąpiła wprost do swego pana.

— Panie, — rzekła nawpół z płaczem, czy mi rogi na łbie wyrosły, czy co takiego stało się ze mną dziwnego?

— No?

— A oto przejść mi spokojnie nie dają. Z dziesięć pań mnie zaczępiło na mieście, a przypatrywały mi się, a zagadywały, a zaglądały w oczy..., a jeden stateczny pan jakiś, podobno aptekarz, to mnie w brodę uszczypnął... powie- działam też zbereźnikowi staremu, aż mu

w pięty poszło... Oh! panie, ja stąd ucieknę... w Warszawie, na Starym Mieście, mnie ludzie szanowali, a tu patrzają jak na raroga...

— Uspokój się, kobiecino—rzekł pan Dezydery, — ludzie są ludźmi, pogapią się i przestaną. Czy ci to ubliża, że kto patrzy na ciebie?...

— Juści że niemiło... Dam na mszę do Przemienienia Pańskiego, może się Pan Jezus zmiłuje nade mną.

.....
Więc chyba nie zbrodniarz? Tak się zdaje przynajmniej...

Mieszka już w Piskorzewie cały rok, nie wyjeżdża nigdzie, osób podejrzanych nie przyjmuje, a niepodejrzanych nie zaprasza... W ogrodzie hoduje prawdziwe kwiaty i prawdziwe owoce, do lodowni zwożą mu w zimie autentyczny lód. Okienic prawie nigdy nie zamyka, można go widzieć z ulicy, zwłaszcza wieczorem, jak siedzi pochylony nad książką, lub gazetą, jak czyta, albo pisze.

Wogóle nie ukrywa się, kto chce, może podpatrywać go dowoli. Zdaje się

więc, że wódki potajemnie nie pędzi, że fałszywej monety nie wyrabia. Zdradził by go przecież jakiś dym, odór, stuk, a ludzie nienapróżno mają nosy, uszy i oczy.

Wojciechowa, choć różnie o tym mówiono, jest, jak się zdaje, prawdziwą starą babą, a przynajmniej niema dowodu, żeby była nieprawdziwa. Jej małomówność, unikanie ludzi, kłiwosć są wprawdzie mocno podejrzane; ale przygarbiona postać, ręce duże, zapracowane, wyschłe, oczy jakby zamglone, głos rozbity, dowodzą, że albo Wojciechowa jest starą babą naprawdę, albo też że sztuka fałszowania doszła do ostatnich granic doskonałości i dalej już ani na krok nie postąpi.

Damy orzekły, że dziewczyna egzaltowana mogłaby się zdobyć na taki heroizm i przybrać na siebie maskę starej i brzydkiej kobiety. Jest to nieprawdopodobne, ale ostatecznie możliwe; ale żeby wytrzymać w takim przebraniu przez cały rok, żeby podejmować roboty, o których ręce naprawdę grubieją i zupełnie tracą delikatność, to już niepodobne do wiary. Można się wyrzec wdzięków

na parę godzin, na dwa dni, wreszcie dla niezmiernie ukochanego człowieka na tydzień, ale na rok, na cały rok, nie, to już nad siły ludzkie!...

Bądź co bądź, niewiadomo, kto jest Dezydery, a raczej wiadomo bardzo niewiele. Zaraz po przybyciu i kupnie domu, złożył swoją legitymację w magistracie, do rąk pana burmistrza. Poza to z niej tyle tylko, że przybysz, przedmiotem ciekawości powszechnej będący, nazywa się Dezydery X, że ma lat 56, że jest chrześcijanin i wdowiec, że posiada stopień kandydata nauk przyrodzonych, że trudnił się nauczycielstwem, a obecnie utrzymuje się z własnych funduszków; że natomiast ma wzrost średni, tuszę średnią, oczy siwe, włosy szpakowate, nos, usta i brodę umiarkowane, i że żadnymi nakami szczególnymi się nie odznacza, to i wszystko.

Najlepsi komentatorowie i badacze czynków bliźniego niewiele z tak szculego materiału wydobiją...

Dwa szczegóły legitymacji przemawiały poniekąd na korzyść pana Dezy-

derego, mianowicie, że jest wdowiec i że utrzymuje się z własnych funduszków. Kto ma córki na wydaniu, nie lekceważy ani wdowców, ani tak zwanych «własnych funduszków»; wprawdzie bruździł tu nieco wiek, lat 56, — ale starsze panie powiedziały, że to głupstwo, gdyż mężczyznę w tym wieku najłatwiej zawojować... i w razie sporządzenia jakiego zapisu «po najdłuższym życiu», oczekiwanie może nie być zbyt długie...

Osoby interesowane usiłowały zbadać życie pana Dezyderego pod względem rodzinnym. Jedyнным źródłem informacji mogła być tylko Wojciechowa, kobieta wyjątkowo mrukliwa i małowonna, — ale i z tego kamienia zdołano wodę wycisnąć. Baba wygadała się nie chcący, że jej pan był najlepszym mężem dla swej żony i najczulszym ojcem dwojga małych dzieci, że gdy wszystko troje utracił i pochował, rozpaczął strasznie, przez parę miesięcy chorował bez nadziei życia, potym włóczył się po świecie, był za górami, za morzami, aż nareszcie powrócił, ale już w Warszawie mieszkać nie chciał, czy nie mógł,

więc kupił domek w Piskorzewie i osiedlił się tu, niewiadomo po co...

Otóż to! niewiadomo po co! Zagadka nierozwiązana; niby się coś wykryło, a właściwie nic się nie wykryło.

W każdym razie to chyba nie jest zbrodniarz, nie! ale w takim razie któż?

Wogóle postępowanie jest dziwne... i zagadkowe. Niby od ludzi nie stroni, ale też ich nie szuka; oddaje ukłony, zaczepiony na ulicy, lub na spacerze rozmawia, jest dla każdego uprzejmy, ale ani zaproszeń nie przyjmuje, ani do siebie nie zaprasza nikogo... Zawsze smutny, poważny, nie uśmiecha się nigdy, chyba do dzieci, które bardzo lubi i często drobnymi upominkami obdarza.

Pewnego razu pani rejentowa piskorzewska spytała pana Romana, pełnego inteligencji sekretarza magistratu, żeby wytłumaczył jej, co to jest melancholja.

Na razie młodzieniec nic nie odrzekł, zrobił tylko minę tajemniczą i przyrzekł, że za pierwszą bytnością w mieście gubernjalnym dowie się jak najdokładniej.

— Tymczasem mogę panią dobrodziejkę zapewnić, — dodał, — że nie jest to nic nadzwyczajnego; bardzo niewinny rodzaj literatury w znaczeniu prostym, a w przenośnym jak kto chce; można tłumaczyć tak, a można i tak, zależnie od okoliczności.

Pani rejentowa była dama z temperamentem i nie lubiła czekać... to też wyszedłszy w towarzystwie na spacer za miasto, i spotkawszy doktora, zaczęła go zaraz.

— Na miłość Boską, doktorze, wytłumacz mi, co to jest melancholja?!

Doktor, poczciwy starowina, zaskoczony zniecka, włożył na nos okulary, otarł czoło czerwoną chustką w kraty i rzekł:

— Chce pani wiedzieć co to jest melancholja? Czy dobrze słyszałem?

— Tak.

— To źle!... Czyżby szanowny rejent?

— Ależ ja nie pytam doktora o safandulstwo, tylko o melancholję; pytam dla własnej ciekawości, chcę wiedzieć.

— To źle, pani dobrodziejko, to źle!...

— Więc mi pan nie powie?

— Jeżeli pani chce koniecznie...

— Proszę, bardzo proszę.

— Melancholja, pani dobrodziejko, jest to choroba.

— Byłam tego prawie pewna...

— Jest to rodzaj psychozy.

— Mów pan po ludzku, psy, kozy... psy... kozy, nie rozumiem tego...

— Zaraz, pani dobrodziejko, powoli... Melancholja jest to choroba umysłowa, niedobra choroba; jest to, iż tak powiem, zboczenie w sferze czucia. Osobnik dotknięty tą chorobą, stwarza sobie i wymyśla różne cierpienia urojone. Jeżeli jest melancholja bierna, cierpi z rezygnacją i w milczeniu, stroni od ludzi, nie mówi do nikogo, — jeżeli czynna, to szaleje, rzuca się i w takim razie ubiera się go w kaftan... Widzi pani dobrodziejka — dodał, zażywając potężny niuch tabaki — gatunków bzika jest znacznie więcej, aniżeli nazw kapeluszy damskich... jest paranoja, są tysiące iluzji, manji, monomanji, delirjów...

— Ależ doktorze, koniec końcem, melancholja jest rodzajem bzika?

— Bezwątpienia, pani dobrodziejko.

— Objawia się smutkiem i małowiernością?

— Jeżeli bierna.

— No, to już wiem, co mi potrzeba. Dziękuję panu serdecznie za tę informację.

— Pozwoli pani zbadać pulsik?...

— Dajże pan pokój, cóż znowu!? Czy wyglądam źle?

— Nie, ale ta kwestja melancholji...

— Cóż?

— Wogóle o takich rzeczach myśleć źle...

— Eh! nudziarz z pana!...

Od tego wieczoru inteligencja piskorzewska znowuż zaczęła spoglądać na pana Dezyderygo podejrzliwie i nie bez pewnej obawy... Zupełnie uzasadnionych powodów nie było, ale bądź co bądź... pewne objawy dawały do myślenia.

.

Inteligentne panny miasta Piskorzewa uznały jednozgodnie, że imię Dezydery samo przez się jest śmieszne i dziwaczne, niby «Hermenegilda» żeńskiego

rodzaju, a człowiek, który je nosi... Właściwie cóż ma robić? Skoro mu takie nadano, więc je ma, chociaż mógłby na biletach wizytowych mienić się Arturem, Adolfem, lub Zenonem... Nie czyni tego wskutek melancholji, tym gorzej dla niego, bo trudno sobie wyobrazić, żeby się znalazła panienka, któraby zdecydowała się zostać panią De-zy-de-ro-wą! Żeby nie to, kto wie? Dezydery na starca nie wygląda; powabny wprawdzie nie jest, ale prezentuje się bardzo dobrze, jego dom i ogród jest nawet pełen wdzięku, a majątek, jak mówią, zachwycający. Niewiadomo skąd rozeszła się pogłoska, że pan Dezydery ma kapitał w banku. Czemuż sam tylko korzysta z procentu, czemuż nie poszuka sobie dożgonnej towarzyszki życia, lecz siedzi w swych pięknych pokojach, lub w ogrodzie, posępny, samotny, milczący...

— Czemu?

Rejentowa powiada, że to melancholja w najgorszym gatunku; zaś panie, mające córki na wydaniu, twierdzą, że nie melancholja, ale impertynencja poprostu i egoizm, rozwinięty do najwyższego stopnia.

Pan sekretarz jest zdania, że można sądzić o tym tak albo tak, stosownie do okoliczności.

Bądź co bądź takie zamykanie się w sobie, zamiłowanie samotności objawem normalnym nie jest... Niechęć do gry w karty! Nietylko w Piskorzewie, ale na całym cywilizowanym świecie ludzie w karty grają. I to nie byle jacy ludzie, mężowie poważni, rozumni, zasłużeni... Któż to nie lubi zasiąść wieczorem do zielonego stolika i zatrudnić umysł kombinacjami gry? Cały świat i cały inteligentny Piskorzew gra,—dlaczego Dezydery nie chce?

— Czy mu żal pieniędzy, które mógłby przegrać? Nie, skąpy on nie jest... czy ludźmi pogardza? I to nie, dla każdego jest uprzedzająco grzeczny. Czy może czasu mu brak? Także nie — bo kto może przesiadywać po całych dniach nad książkami, mógłby poświęcić parę godzin na grę... Przyczyny trzeba szukać jedynie w chorobliwym stanie umysłu.

Bezwątpienia... To człowiek apatyczny, którego nie obchodzi nic... Nie pyta

nigdy, co sływać, o kim mówią dobrze, lub źle, sam nie wyraża o nikim swego zdania i wogóle nie zajmuje się tym, co złośliwi zowią plotkami, a co w gruncie rzeczy jest, tak pożądaną w interesach moralności, kontrolą ogółu nad postępowaniem jednostek.

Rejentowa ma słuszność... panu Dezyderemu czegoś brakuje...

Ludzie, którzy są w przekonaniu, że mają władze umysłowe w zupełnym porządku, a zdaje się, że to przekonanie mają bez wyjątku wszyscy,—przy spotkaniu się z człowiekiem podejrzanym o brak piątej klepki... doznają pewnego zaniepokojenia i obawy. Któż może przewidzieć, co powie, albo co uczyni warjat, w jakim kierunku popchnie go chory umysł?... Chociaż jest niby spokojny, choć ludzi nie zaczepia, ale zawsze... Beczka prochu jest także bardzo spokojna, dopóki jej nie zaczepi drobna, ma lutka iskierka... to też pan burmistrz, powracający samotnie z przechadzki zamiejskiej, wcale się nie ucieszył, ujrza-

szy za miastem pana Dezyderego. Cóż jednak miał robić; uklonił się i przyspieszył kroku, jak gdyby powoływała go jakaś nadzwyczajna, ważna czynność. Dezydery jednak, wbrew zwyczajowi, zaczął gospodarza miasta.

— Panie prezydencie—rzekł—co myślicie zrobić z tym chłopakiem, którego ujęto dziś na kradzieży u Mośka?

— Tymczasem siedzi w kozie.

— A dalej?

— Odeślę go do sędziego, a sędzia wpakuje go gdzie należy. Prosta rzecz jak drut: zegarek powinien siedzieć w kieszeni od kamizelki, a złodziej w kryminalne.

— Taki młody chłopak, prawie dzieciak!...

— Któż mu kazał kraść?!

— W towarzystwie kryminalistów ześpuje się do reszty i zostanie skończonym łotrem... Szkoda go, nieprawdaż panie?...

— Może i szkoda, ale czemu kradł?...

— Niestety, wszyscy ci mali złodzieje mają jedną matkę, a tą jest ciemnota...

Burmistrz nic nie odpowiedział, spoj-

rzał tylko na pana Dezyderego z pod oka i pomyślał sobie:

— Bredzisz dobrodzieju... jedną matkę... Gdzieżby jedna matka mogła mieć tylu synów, ilu jest złodziei na świecie!? Złodziej, którego dziś zamknął, wcale nie ma matki, tylko ojca nicponia i pijaka, jakiego świat nie widział...

Po chwili pan Dezydery odezwał się znowu.

— Jednak to są objawy smutne... trzeba coś radzić, jakie jest pańskie zdanie?...

— Jakież może być zdanie?! Protokół i do sądu. Co ja więcej mogę.

— Wie pan co, panie prezydencie, ponieważ tu osiedliłem się, tu mieszkam i tu zapewne życie skończę, przeto chciałbym miastu zostawić pamiątkę...

Burmistrz zbladł.

— Pamiątkę—rzekł,—cóż znowu? jaką pamiątkę?

— Niedługo się pan dowiesz — rzekł Dezydery z tajemniczym uśmiechem i pożegnawszy burmistrza, poszedł w swoją stronę.

Wyraźnie pogroźka... Jaką pamiątkę

może dać miastu człowiek, któremu braknie piątej klepki? Chyba podpali na cztery rogi Piskorzew i puści go z dymem.

Nieszczęście go tu przyniosło; nie mógł sobie wynaleźć domu gdzieindziej, tylko w Piskorzewie! koniecznie w Piskorzewie!

Zanim się udał na spoczynek, prezydent zawołał swoich pachółków, kazał im nasmarować koła u sikawek i beczek, oraz zapowiedział, że w nocy osobiście kontrolować będzie, czy stróże nocni są na stanowiskach... Dziwną im się wydała ta energia niezwykła, ale spełnili, co im rozkazano. W nocy rozlegał się trzask grzechotek, świadczący, że straż czuwa, a prezydent usnął dopiero nad ranem i miał sen niespokojny, gdyż sądził, że lada chwila dzwon alarmowy go zbudzi.

Rano, zaspane listopadowe słońce jaśniało nad Piskorzewem, który był taki sam, jak wczoraj, cały, nienaruszony, brudny, pełen śmieci i błota, jak zwykle...

Warjat nie spełnił pogroźki, ale któż wie, co jutro przyniesie?

.

Nie przyniosło nic ani jutro, ani dni następne. Życie płynęło zwykłym trybem, tylko pan Dezydery zaczął się ruszać...

Konferował o czymś z faktorem, wyjeżdżał kilka razy i był niezwykle ożywiony. Widocznie jakaś myśl bardzo go zajmowała.

Co rano przychodził do burmistrza żydek jeden, Mordka Kielbik, o nieokreślonym ściśle stanowisku, ale bardzo czynny, ruchliwy i wiedzący o wszystkim, co się w mieście dzieje. Ponieważ Piskorzew nie posiadał własnej gazety, Mordka pełnił funkcje dziennika i informował chętnie o wszystkim, poczynawszy od polityki, aż do cen zboża...

Pewnego dnia Mordka przyszedł do burmistrza wcześniej niż zwykle; właśnie gospodarz miasta Piskorzewa, w charakterze zupełnie prywatnym, w pantoflach i wátowanym szlafroku, zasiadał do herbaty, gdy mu oznajmiono przybycie wszystkowiedza. Mordka z tajemniczą miną wsunął się do pokoju.

— Cóż tak wcześniej dziś — spytał burmistrz, — czy stało się co ważnego?

— Proszę pana prezydenta, trochę się już stało, trochę się staje, a co się ma stać, wcale nie jest trochę, tylko bardzo dużo!

— No, no — gadajże, zabili kogo, czy okradli?

— Zabić, Bogu dziękować, nie zabili, ale to, co zrobili, nieładnie jest... Ktoby się spodziewał na takiego cichego, spokojnego, porządnego pana... pfe!

— O kim mówisz, u licha!

— No, o tym panu co ma dom po sędzinie.

— O Dezyderym?! cóż on zrobił?

— Niech się pan prezydent spyta, czego on nie zrobił? Wiadomo panu, że Michał Baranek, chciał sprzedać plac na Wjazdowej ulicy.

— No, wiem.

— To śliczny plac, on jest stworzony na to, żeby na nim postawić szynk i zajazd, to też Symcha Grünbaum, targował ten plac i nie chciał go z ręki wypuścić.

— I kupił?

— Niechno pan czeka. On chciał kupić, on był pewny, że kupi, on wiedział, że z naszych nikt mu przeszkody nie

zrobi, a katolikowi taki plac na nic. Byłby już może i kupił, ale Baranek niedawno sprzedał krowę i przez to zrobił się okropnie hardy. Więc Symcha miał czekać, aż on tę krowę wypije i aż mu się znowu zachce pić, to wtedy spuści z ceny i za byle co sprzeda. Symcha czekał, pewny swojego. Tymczasem niechno pan prezydent słucha, wczoraj ten pan, jak się nazywa?

— Dezydery?

— No, ten pan Dezydery, posłał po Baranka, dał mu więcej, niż Symcha chciał dać i plac kupił. Zaraz zrobili kontrakt u rejenta. To jest wielka krzywda, panie prezydencie. Symcha płakał, włosy sobie z brody wyrwał, chciał dać sto rubli odstępnego, ale tamten nie przystał... powiedział, że o tym placu już dawno myśli i że się bez niego nie obejdzie?

— Na co jemu ten plac?

— Powiada, że mu potrzebny, że będzie dom budował i wie pan, co się pokazało?

— No?

— Pokazało się, że już drzewo kupio-

ne, cegła kupiona, wszystko, co potrzeba. Zaraz z wiosny zaczną budować. Słyszałem, że ma być jakiś dom osobny, całkiem zagraniczną modą...

— Co jemu po tym?

— Albo ja wiem,— a panie prezydencie, co jego obchodzi nasz warjat? nasz żydowski warjat—i do niego także miał się wtrącić!

— Wasz warjat?

— No tak, głupi Berek. To jest cała historia!... Wczoraj ten pan Dezydero wszedł przez miasto i spotkał Berka na ulicy. Co prawda, teraz jest już trochę chłodno — i to też prawda, że Berek ma bardzo pięknej garderoby. Więc zamiast pójść spokojnie swoją drogą, udał się prosto do rabina. Tam byli najbogatsi obywatele i najporządniejsi szynkarze, kahalni, cała starszyzna! Oni się bardzo zdziwili, oni pytali — czego pan chce? On też powiedział! Nie chcę powtarzać, co on powiedział, ale to wcale nie było piękne słowo...

— Czegoż chciał od rabina i od żaków?

— Aj, panie prezydencie, on mówił, że Berek, ten głupi obdarty Berek, ten warjat, to jest wstyd dla rabina, dla kahału, dla całego miasta, że on nie powinien być ani obdarty, ani zmarznięty, ani głodny, bo to jest dla nas, niby dla wszystkich żydów, fe! Kahalni powiedzieli, że niema na to pieniędzy — a on wyjął z kieszeni pięćdziesiąt rubli, oddał rabinowi i powiedział, że to na ubranie dla Berka... a potem wcale nic nie mówił, tylko sobie poszedł...

— Warjat, czysty warjat!...

— I mnie się tak zdaje, ale on miłośniwy jest. Rabin długo siedział i nic nie mówił, myślał tylko i wzdychał; potem kazał zawołać szewca, krawca i taką kobietę co bieliznę szyje, no i za parę dni, obaczy pan prezydent, nasz warjat będzie wyglądał jak najporządniejszy kupiec...

— Poznał swój swego...

— Może być... ale to jeszcze nie koniec; ja się dowiedziałem o nowej sprawie pana Dezyderego...

— No, no...

— Że on naszego warjata ubrał, to

nie jest wielki grzech, bo kto na tym straci, kto do tego dołoży, że głupiemu Berkowi będzie ciepło; ale on chce ubrać pana prezydenta.

— Mnie!

— Chce ubrać całe miasto, nas wszystkich!

— Nie gadaj!

— Aj, aj, żebym ja też miał takie długie życie i szczęście, jak to prawda... On chce zrobić źle dla żydów, dla mieszczan—i na co jemu to? Niech ja wiem, co jemu z tego przyjdzie?!

— Ale cóż zamierza!

— On niedobrze zamierza... On chce zrobić komisje...

— Co?

— No, czy ja nieprawdę powiadam, ledwie wymówiłem to słowo, sam pan prezydent się przestraszył—a co dopiero obywatele!... My przecież jesteśmy tutaj urodzeni i nie znaleźmy żadnych komisji, nasi dziadowie, nasi ojcowie nie znali, a on chce...

* — Ale cóż właściwie chce, do milion!...—zawołał burmistrz, który już zaczął tracić cierpliwość, — gadaj-że, co

chce, skąd się dowiedziałeś? Może to tylko głupia plotka...

— Żebym ja miał tyle pieniędzy, ile prawdy w tej plotce... na moje sumienie!... a skąd ja się dowiedziałem, co panu do tego, dość, że wiem, a jeżeli okaże się, że to nie jest prawda, to niech pan prezydent nazwie Mordkę cyganem. Pan Dezydery już cały tydzień buntuje naszego doktora...

— Koniec świata! na cóż mu doktor?!

— Na co? on chce, żeby u nas była komisja.

— Zwarjowa!...

— On chce, żeby obywatele zamiatali ulice, żeby wywozili śmiecie, żeby płacili składki na studnie, żeby bielili swoje chałupy... aj, czego on nie chce!... On chce, żeby rzeźniki byli zgubione, żeby nie różni chorego bydła, nie sprzedawali takiego mięsa, co trochę zepsute jest... żeby musieli utrzymywać jatki porządniej, niż własne izby na Wielkanoc. On chce, ażeby szynkarze byli zgubione, żeby sprzedawali trunki bez dodatków, a czy to można na dzisiejsze czasy?... Teraz chłopci tak zdelikatnieli, że chcą

mieć wódkę jak ogień... On chce, żeby piekarze byli zgubione, chce im zrobić kontrolę!... On chce całe miasto zgubić, chce, żeby pan prezydent miał pisanie, a my wszyscy zniszczenie! Ja sam mam pół domu nad wodą, ten dom nie daje mi nic, tyle, że mieszkam i podatek zapłacę — jak komisja każe koło niego zamiatać i śmiecie wywozić, to skąd ja wezmę na miotły? czym zapłacę taką babę, co zamiatą, i takiego chłopca, co wywozi? To będzie zguba miasta, zniszczenie, upadek... wszyscy obywatele z torbami pójdą... a przez kogo? przez jednego człowieka, który sam nie wie, czego chce.

— I cóż na to doktor?

— Co doktor może?! Wiadomo panu, że nasz doktor też jest obywatel, tyle lat żyje między nami bez komisji sanitarnej, to zapewne musi sobie miarkować, że dożyłby i do śmierci bez takiego interesu, ale jemu, jako doktorowi, nie wypada powiedzieć, że taka komisja jest niepotrzebna.

— Ma się rozumieć... to prawda...

— Ja zawsze tylko prawdę mówię.

Doktor zrobi to, co pan Dezydery chce, cała nadzieja w obywatelach. Oni nie przystaną na żadne nowości. Ja już puściłem w kurs tę wiadomość i nasze żydki śmieją się i kiwają głowami, a mieszczanie już wypili kilka garncy wódki ze zmartwienia i odgrają się... Matka dziecka nie będzie tak broniła, jak oni swoich śmieci i starych porządków...

— Co to pomoże... jak doktor będzie chciał, to ja muszę przedstawienie zrobić, a wasza opozycja tyle znaczyć będzie, co zesłoroczny mróz.

— Nu, panie prezydencie, kto wie, może nasze żydki co wymyślą... Dlaczego nie mają wymyśleć? mądrych głów w Piskorzewie, Bogu dzięki, nie braknie...

Kupno placu, datek dla Berka warjata, wreszcie pomysł komisji sanitarnej, przechyliły ostatecznie szalę.

Opinia publiczna miasta Piskorzewa uznała pana Dezyderego za warjata. Trzeba oddać jej sprawiedliwość, że wahała się długo na tę i na tę stronę, jak rozbujana huśtawka i że wydała wyrok

na podstawie faktów sprawdzonych, dowiedzionych, które razem wzięte, tworzyły istny bigos psychopatyczny.

Dwie tylko osoby z inteligencji Piskorzewa nie oświadczyły się stanowczo za wyrokiem: pan sekretarz i rejentowa. Pierwszy po namyśle orzekł, że można sądzić i tak i tak, stosownie do okoliczności; druga zaś, jako oponentka z zasady, lubiła płynąć pod prąd. Kiedy Dezyderego miano za rozumnego człowieka, dowodziła, że jest skończony warjat; a gdy go okrzyczano warjatem, powiedziała z całą stanowczością:

— Przepraszam, ale to jeszcze niedowiedzione.

Doktór nie wyjawiał swego zdania i milczał, choć go nieraz pytano, aptekarz zaś nie krępował się wcale... i głosił publicznie, że Dezydery jest «*mente captus*». Dopiero, gdy skutkiem pożaru apteki, zacny farmaceuta znalazł się w położeniu bez wyjścia, a pan Dezydery sam się zgłosił i przyszedł mu z pomocą, wtenczas złagodził znacznie swój sąd i przy każdej sposobności mówił do znajomych:

— «*Mente captus*» jest, bo jest, ale miewa niekiedy «*lucida intervalla*»...

.

Z wiosną, na plac, który tak gorąco pragnął nabyć szanowny Symcha Grünbaum, zaczęto zwozić materiały budowlane. Przyjechał budowniczy, majstrowie i rozpoczęła się robota.

Pan Dezydery pieniędzy nie żałował, to też budynek wzrastał niemal w oczach, a mieszkańcy piskorzewscy zastanawiali się nad jego osobliwym kształtem i nie mogli dociec, na jaki użytek taki gmach mógł być przeznaczony. Ani to bożnica, ani koszary—cóż więc?

Istotnie, jeszcze w Piskorzewie nikt tak okazałego domu nie widział, chociaż w rynku były cztery kamienice murywane, piętrowe i kilkadziesiąt domów drewnianych z facjatkami, a na bocznych ulicach około dwustu domków, nie różniących się niczym od chłopskich chat po wsiach.

Nawet willa pana Dezyderego straciła na uroku wobec nowego budynku.

Stał on na podmurowaniu, był bardzo

wysoki, o pokojach ogromnych, zaopatrzonych w wielkie weneckie okna. Widniej w nim było, niż na rynku, przestroniej niż w bożnicy, a ładniej... no niema takiego miejsca w Piskorzewie, w którym byłoby ładniej.

I na co jemu taki gmach, postawiony kosztownie, z wyborowych materiałów, z białymi ścianami, sufitami i posadzką, kryty blachą, malowany na zewnątrz olejno; pochłonąć musiał niemało pieniędzy, a jaki dochód może przynieść? Nic.

Rzeczywiście, tylko człowiek nie mający władz umysłowych w porządku, może takie zbytki wyrabiać...

Ale na domu nie koniec: cała posesja ogrodzona została z frontu wysokimi sztachetami, z tyłu zaś solidnym, mocnym parkanem; w podwórku wybrukowanym, zaopatrzonym w ścieki, stanęły zabudowania gospodarskie, poza nimi zaś, pozostała przestrzeń placu skopano, uregulowano i urządzono na niej ogród.

Pan Dezydery pieniędzy nie żałował, to też wszystko szło niesłychanie prędko.

Czemuż ten pośpiech?

Gubili się ludzie w domysłach, jakie przeznaczenie ma otrzymać nowy budynek?... Żydzi przypuszczali, że będzie to chyba zakład publiczny, z bilardami, rodzaj austerji, czy zajazdu; mieszczanie znów twierdzili, że albo magistrat znajdzie w tym domu pomieszczenie, albo koszary wojskowe; inteligencja zaś mniemała, że budynek jest wzniesiony specjalnie na teatr amatorski, że w nim odbywać się będą zabawy publiczne, koncerty, lub przedstawienia sztuk magicznych.

Pan Dezydery na pytania odpowiadał wymijająco.

— Przedewszystkim — mówił — chcę postawić porządny dom, a co z nim zrobię — zobaczycie, cierpliwości tylko...

Cierpliwości! dobre to dla cierpliwych, ale nie dla ciekawych.

Doktor twierdził, że ten dom przydałby się na szpital, pan sekretarz, że na urząd rekrucki.

Rejentowa nie mówiła nic, ale uśmiechała się, w sposób mogący dać dużo do myślenia.

Ta musiała coś wiedzieć, ale co?

Jednocześnie prawie zdarzyły się dwa fakty, które zwróciły na siebie uwagę powszechną. Do rejentostwa przyjechała w odwiedziny na czas dłuższy siostra pani rejentowej, osoba jeszcze młoda, wdówka, bardzo przystojna, bardzo dystyngowana i elegantka pierwszej wody, a pan Dezydery ciężko zachorował. Te fakty na pozór nic wspólnego z sobą niemające, łączyły się jednak ze sobą, a i jeden i drugi stał się przedmiotem uwagi powszechnej i materiałem do rozmaitych komentarzy.

Przyjazd pani Stefanji, siostry rejentowej, wywołał istną rewolucję w świecie damskim; szwaczki i krawcy nie mogli sobie dać rady, gdyż na raz wszystkie panie zapragnęły gwałtownej reformy swych toalet, a każdej było tak pilno, jak gdyby suknie potrzebne były nie na wizyty i spacer—ale na pożar.

Pani Stefanja przybyła bezpośrednio z Warszawy, a że do Piskorzewa ostatni wyraz mody nie dochodzi tak szybko, jakby sobie życzyć należało, więc suknie pani Stefanji świeżutkie, zapewne z pierwszorzędnego magazynu po-

chodzące, stały się wzorem, który każda z pań jak najskwapliwiej i najprędzej naśladować pragnęła.

Było to coś w rodzaju rewolucji toaletowej, w której brała udział cała piękniejsza połowa inteligencji bez wyjątku—i dopóki się rewolucja nie uspokoiła, brzydsza połowa inteligencji nie jadała obiadów, lub też jadała niesmaczne, przesolone, przydymione szkaradnie. Wobec mody warszawskiej, wszystkie, choćby najważniejsze i najpilniejsze sprawy tak zwanych ognisk domowych, musiały ustąpić na plan drugi, dziesiąty i ostatni.

Któżby, mając wspaniałe słońce przed oczami, troszczył się o to, że lampka kopci!?

Drugi fakt interesował bardziej pańców. Co będzie, jeżeli Dezydery umrze? a według opinji lekarza, ewentualność taka nie jest nieprawdopodobna. Człowiek niemłody, ma zapalenie płuc, więc... można się katastrofy spodziewać. Jeżeli umrze, cóż się stanie z willą i z nowo-wybudowanym domem? Kto je odziedziczy? Czy są krewni bliżsi, lub dalsi?

Komu się dostaną kapitały? Ostatecznie są to pytania ciekawe i interesujące.

Doktór chodzi tam dwa razy na dzień, ale starowina jest dyskretny, małowówny i chorego pytaniami nie męczy. Robi co do niego należy, bada, zapisze lekarstwo, poinformuje Wojciechową, jak ma pielęgnować pacjenta i ucieka, a na pytania osób postronnych odpowiada stale:

— Nie wiem. Co do zdrowia, hm... jeżeli nie wyzdrowieje, to niezawodnie umrze, a jeżeli umrze, to już nie wyzdrowieje. Co się tyczy jakichś testamentów, rozporządzeń majątkowych, zapisów, o tym i nie wiem i wiedzieć nie chcę. Co mnie to obchodzi, rejenta rzecz, ale nie moja.

Pani rejentowa, nie mogąc się doczekać, aby męża jej wezwano, postanowiła wybrać się do chorego sama.

Biedny Dezydery—mówiła,—dlatego, że trochę dziwak, nikt o niego nie dba; rzucony na pastwę losu, jak sierota, bez żadnej opieki... Doprawdy, łyżki wody niema mu kto podać. Ja sama będę dla niego siostrą miłosierdzia.

— Ale duszko — ośmielił się zaprotestować rejent —doprawdy, nie wiem...

— O! ty nigdy nic nie wiesz, to znana rzecz.

— Przepraszam cię, aniołku, ale w tym razie ja dobrze wiem, czego nie wiem.

— Ha, ha! to mi się podoba! więc ostatecznie czegoż nie wiesz, pedancie?

— Nie wiem, czy wogóle kobiecie... względnie młodej...

— Proszę! co za łaska! więc ja jestem tylko względnie młoda?

— To jest... że się tak wyrażę... zapewne... jeżeli chodzi o ścisłą definicję...

— Eh! mój mężu, jesteś bezwzględnie stary nudziarz i mantyka... Chorego odwiedzić i zaopiekować się nim, jest obowiązkiem chrześcijańskim. Nie prawdaż, Stefciu?—dodała—zwracając się do siostry.

Pani Stefanja wyraziła zdanie, że współczucie dla cierpiących jest najpiękniejszą stroną duszy kobiecej.

— Ha—rzekł z rezygnacją rejent— jesteście obie pełnoletnie i do działań urzędowych zdolne, róbcie więc, co wam się podoba, ale ja od wszystkiego ręce umy-

wam; pamiętajcie sobie, zem ostrzegał. Ostrzegałem, uważasz, duszko.

— A cóż nam zagraża?

— Plotki, moja pani; nasz Piskorzew jest piękne miasteczko, ale partykularz; języki tu dłuższe, aniżeli gdzieindziej, zwłaszcza...

Zatrzymał się nagle.

— Co zwłaszcza? — nalegała rejentowa—dokończże, skoro zacząłeś...

— Ja... to jest... właściwie tak... ale obawiam się obrazić...

— Mów, mów...

— Języki tu dłuższe, powiadam, niż gdzieindziej, zwłaszcza kobiece...

— I tobie się zdawało, że mnie tym obrazisz?

— Myślałem... Tym lepiej, że byłam w błędzie.

— Nie mam się o co obrażać... przedewszystkim ja bynajmniej nie jestem kobietą.

Rejent zrobił wielkie oczy.

— A, moja duszko—rzekł,—przecież tyle lat...

— I przez ten czas nie nauczyłeś się

jeszcze rozróżniać, że co innego jest kobieta, a co innego dama. Nie zaprzeczysz chyba, że twoja żona jest dama.

— A no, być może, bardzo być może... gotów jestem nawet...

— Chodźmy, Stefciu, zostawmy mego małżonka w spokoju, niech sobie drzemie nad kodeksem, a my spełnijmy uczynek chrześcijański.

— I ja?

— Przecież mnie samej nie wypada.

— Ależ ja go nie znam!...

— To go poznasz, kto wie, co z tego wyniknie? Tyś piękna wdówka, a on... on wprawdzie niepiękny, ale bardzo bogaty wdowiec.

— Umierający...

— Jeżeli umrze, niema o czym mówić, lecz w razie wyzdrowienia...

— Mówią o nim, że warjat...

— O, moja droga, tak mówią, a ja utrzymuję, że to jeszcze niedowiedzione.

.

Wojciechowa nie chciała wpuścić pań do chorego, stanęła przede drzwiami jak szyldwach, w postawie bynajmniej niezapraszającej.

— Pan chory — rzekła, — pan bardzo chory, a choć nawet w zdrowiu będąc, gości nie pragnął.

— Właśnie, dlategośmy przyszły, że chory.

— Doktor bywa...

— On swoją drogą, a my swoją. Trudno, żeby był bez opieki; kobiety jesteśmy, mamy serce.

— I to prawda, ale on bez opieki nie jest...

— Któż go dogłada?

— A ja to niby pies?! — odburknęła baba, — tyle lat mu służę i nie narzeka...

— Wiemy, że mu służycie i dobrze, pocziwie służycie... teraz już niema takich sług.

— O, teraz naród! niech go marność! lada dziewczka od cebra stroić się jeno chce i latać.

— O! tak — wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... Wasz pan lepszej kobiety, ze świecą by nie znalazł, ale czy sama jedna możecie sobie dać radę; tyle na waszej głowie.

— A juści, cała ta chałupa — odrzekła baba.

— I do miasta wyjść i porządek zrobić i ugotować... chyba musielibyście mieć ze trzy pary rąk, żeby temu podołać.

W życiu swoim nie słyszała Wojciechowa tylu komplementów. Łechtały one jej próżność, to też baba była w siódmym niebie, szczęśliwa, że się nareszcie na jej cnotach poznało.

Wejście do chorego nie przedstawiało już trudności; panie wtargnęły więc do wnętrza willi i zaczęły w niej gospodarować. Pana Dezyderego nie widziały, gdyż spał, ale potrafiły wytłumaczyć, że choremu będzie daleko lepiej leżeć w salonie dużym i widnym, aniżeli w sypialni ciasnej cokolwiek. Stało się według ich woli, i na drugi dzień od rana przeniesiono go z łóżkiem.

Pan Dezydery, którego choroba przesiłala się i pomyślniejsze pozwalała rokować nadzieje, nie mógł się wydziwić, skąd się wzięły bukiety na oknach i stole, oraz skąd pochodzą soki owocowe, konfitury i rozmaite przysmaki, które mu Wojciechowa podawała.

— Jednak to zacne kobiety — pomy-

ślał, gdy mu powiedziano, kto czuwa nad nim zdaleka i otacza go niewidzialną, a delikatną troskliwością.

Doktór uśmiechał się.

— Hm... — mówił do swego pacjenta — kwiatki, konfiturki — to źle... to nie-dobrze!

— Czy mi zaszkodzą? — spytał chory.

— Tego nie mówię, ale twierdzę, że... to niedobrze.

— Dlaczego?

— Bo z poza tych soków, konfiturek, bukietów wychyla się kobieta.

— Tak sądzisz, doktorze.

— Ma się rozumieć. Jest kobieta, są czułości, jest romans — to źle, bardzo źle...

— Posądzasz mnie pan?

— Nie — tylko mówię, że jest źle...

— No, chyba nie zakocham się w re-jentowej...

— Zapewne, gdyż ta ma jeszcze męża, ale pani Stefanja, jej siostra, już go nie ma — a to źle.

— Dla niej...

— Nie, dla pana... od romansu do mał-żeństwa jeden krok.

— Doktorze zapewniam cię uroczy-ście, że o kobietach nie myślę...

— To źle.

— Więc cóż u licha jest dobrze we- dług pana?

— Hm... niewiele mogę wyliczyć... Swoboda dobra, spokój dobry, niezale-żność dobra, ale małżeństwo...

— Sam jesteś żonaty...

— Jestem i to źle, to bardzo źle... Moż- na o kobietach myśleć, można je nawet lubić, ale żenić się, zwłaszcza w pew- nym wieku, jest stanowczo źle... By- wajże zdrow, panie Dezydery, nie wsta- waj jeszcze, poleż, wypocznij, ja cię ju- tro odwiedzę.

Tegoż dnia dwa anioły opiekuńcze zjawiły się osobiście w pokoju chorego. Pan Dezydery przyjął je jak najgrzecz- niej, za opiekę dziękował, rozmawiał, ożywił się.

Gdy już wyszły na ulicę, pani rejen- towa rzekła do siostry:

— I cóż, Stefcu, dziad jeszcze ujdzie, a zakochany w tobie — po uszy!

— Moja Maniu — rzekła pani Stefa-

nja — powiedz mi, czy jutro na spacer włożyć suknię czarną, czy popielatą?

— W czarnej ci jest cudownie.

Pani Stefanja podziękowała za radę i nazajutrz na spacerze pozwałała się podziwiać w barwach... blado-niebieskich.

Trzebaby być dzikim człowiekiem, żeby nie podziękować za tyle dowodów dobroci i uprzejmości, to też skoro pan Dezydery przyszedł o tyle do zdrowia, że mógł już z domu wychodzić, przywdział odświętny garnitur i udał się do mieszkania rejenta. Przedtem zaś rano posłał dla pań kilkanaście prześlicznych roślin ze swej oranżerji i koszyk pysznych brzoskwiń prosto z drzewa.

Rejent ujrawszy przesyłkę, uśmiechnął się do żony.

— Meternich z ciebie, moja pani — mówił, — Meternich! Anim się spodziewał, dokąd cię chrześcijańskie uczucia zaprowadzą.

Pani rejentowa z kwaśną miną przyjęła komplement.

— Chciej mi pan wierzyć, panie mężu — rzekła — że moje uczucia nigdy nie zaprowadzą mnie tam, gdzie nienależy.

— Ależ przepraszam! przepraszam stokrotnie... A do licha! myśli podobnej nie miałem, — wiem, że o Stefcię idzie.

— Skoro wiesz, to wyrażaj się ściślej, ja bowiem dwuznaczników, ani domyslników nie lubię...

— Ależ brzoskwinie! jak żyję, nie widziałem podobnych! ależ kwiaty! słowo daję, że nie wiem, jak się nazywają.

— Ty jeszcze wielu rzeczy nie wiesz... mój mężu, chociaż wyobrażasz sobie, że jesteś bardzo mądry.

Pana Dezyderego przyjęto ze wszystkimi honorami. Rejent powiedział, że od czasu objęcia kancelarji w Piskorzewie, jeszcze go taki zaszczyt nie spotkał, a panie wysiłały się na to, aby oczarować gościa miłym obejściem... Odludek ożywił się, rozruszał, zrobił się wymownym i dowcipnym. Wieczorem towarzyszył paniom na spacer, ze spaceru odprowadził je do domu, został na herbacie... dopiero koło północy do siebie powrócił.

Wojciechowa przywitała go ciężkim westchnieniem.

— Oj panie, panie—rzekła—do czego to podobne?...

— Co?

— A tak późno do domu wracać... Czy to pan młodzik? Czy nie chorował pan niedawno tak ciężko?

— Nie marudź, Wojciechowa, nie marudź.

Baba odeszła mrużąc i sądziła, że się już więcej taka ekstrawagancja nie powtórzy. Ale gdzieżtam, powtórzyła się za tydzień, później za trzy dni, i znów za trzy i za dwa dni.

— Paskudne te mężczyzny — mruzczała Wojciechowa, — a tak za nieboszczką i za dziatkami płakał, tak się z żalu rozpadał; za morze jeździł, żeby zapomnienia szukać, w tym kącie się zakopał, żeby ludzi nie widzieć, a teraz masz!... Obaczył ładne oczy i leci jak ćma na latarnię, leci, choć już niemłody... O paskudny naród!

W tym czasie mniej więcej Mordka Kiełbik, przyszedłszy jak zwykle na au-

djencję prywatną do burmistrza, mówił z uśmiechem.

— Jakoś, panie prezydencie, o tej komisji cicho. Nasze żydki bardzo się z tego cieszą, a mieszczański, co pierwsi pili ze zmartwienia, teraz piją z radości... Pan Dezydery sam się przekonał, że chce głupstwo zrobić — i dał pokój.

— Nie tak, jak ci się zdaje... on jest uparty, znowuż doktora zaczepiał.

— Dawno?

— Niedawno; dwa tygodnie temu, może trzy...

— Aj, panie prezydencie, wtedy było co innego, a dziś znów co innego.

— No?!

— Wtenczas on chciał komisji dla miasta, dziś jemu samemu inna komisja w głowę zajechała.

— Co znowu?

— Niby to pan prezydent nie wie; on chodzi do rejenta prawie codzień, a po co on tam chodzi? pewnie nie po to, żeby chciał rejenta tak często widzieć... On się ożeni...

— Z kimże u licha?!

— Z siostrą rejentowej... To bardzo

fajn wdowa, warszawska elegantka, wygląda jak hrabina...

— Ależ to młoda kobieta!

— Właśnie dlatego... przecież, z przeproszeniem pana prezydenta, stare baby zamaż nie wychodzą.

— No tak, lecz on sam jest stary.

— Niebardzo...

— Dziad!

— Co to znaczy?! U nas przed rokiem ożenił się jeden wdowiec, co ma więcej, niż osmdziesiąt lat... pan prezydent go zna... Mojsie Pikes.

— A, ten, co ma sklep z żelazem?

— Ten sam; on nabożny jest i przez to nie chciał być bez żony... Ożenił się... oj, oj, jakiego on delikatnego synka ma! Pan Dezydery wcale stary nie jest... on tak ostro chodzi na spacer, z takim rozmachem, jak wielmożny pan prezydent, a może jeszcze lepiej.

— W każdym razie... żeby się w tych latach żenić warjat!

.

Całe miasto o tym mówiło. Na wzmiankę o Dezyderym pani Stefanja skrom-

nie spuszczała oczy, rejentowa przybiegała minę tajemniczą, a małżonek jej odpowiadał wymijająco.

— Nie wiem, panie dobrodzieju, nic nie wiem... aczkolwiek ewentualność taka, z mojego punktu widzenia, nie byłaby niemożliwą.

Panny piskorzewskie spoglądały na panią Stefanję niechętnie, gdyż bąc co bąc polowała ona w cudzej kniei.

Spadła na ciche miasteczko jak bomba, olśniła wszystkich szykiem i elegancją, wywołała istną rewolucję w sferze toalet i kostjumów i nie dość na tym, zabiera jeszcze Dezyderego, najlepszą partję w całym mieście!

Dezydery, teraz, kiedy miał być już dla pańien stracony na zawsze, zyskał ogromnie w ich oczach. Uznały jednozgodnie, że jest on wcale nie stary, wcale nie brzydki, nawet przystojny, że ma bardzo szlachetny charakter, że nawet bez majątku mógłby uszczęśliwić młodą osobę, a cóż dopiero z taką piękną willą i z funduszami!

Przyjazd pani Stefanji i jej kokiet-

rja stały się przedmiotem powszechnego oburzenia, a pan Wincenty, były podsedek, emeryt, mający trzy córki na wydaniu, powiedział, że postępowanie pani Stefanji i zabranie pana Dezyderego powinno być karane, jak rozbój w celu grabieży, a przynajmniej, przy szczególnym uwzględnieniu okoliczności łagodzących, jako kradzież z włamaniem.

— Tak, czy owak — mówił eksządownik do żony — jest to czyn, który aczkolwiek nie przewidziany przez kodeks kar głównych i poprawczych, czuć jednak zdaleka kryminałem.

Matka i córki były tego samego zdania i każda z nich w myśli nazywała panią Stefanję zbrodniarką.

Całe miasto zajęte było losem przyszej pary, a pan Dezydery, ciągle zapraszany, ciągle przyjmowany serdecznie, prawie codziennie wieczorem do rejentostwa przychodził.

Te kobiety zaczynały godzić go ze światem; rozmawiając z niemi, słuchając gry i śpiewu pani Stefanji, zapominał o swoich troskach i był szczerze wdzięczny paniom za kilka pogodniejszych chwil

w życiu samotnym, za rozweselenie w żalu.

Trzeba przyznać, że nieraz zastanawiał się nad pytaniem, w jaki sposób mógłby im odpłacić ich poświęcenie i dobroć. Myślał o uczynieniu zapisu w testamencie na rzecz rejentowej i pani Stefanji, ale chciał to zrobić tak, żeby nie zaraz dowiedziały się o tym, żeby mu nawet podziękować nie mogły.

Raz taką właśnie myślą zajęty, wracał już dosyć późno od rejentostwa do domu i spostrzegł, że w pierwszym pokoju pali się światło... Czyżby Wojciechowa do tej pory pracowała?

Wszedszy zastał babę drzemiącą na krześle.

— A dyć czekam na pana — rzekła przebudzona — i doczekać się nie mogę.

— Cóż się stało?

— Ha, nic panie. Służyłam za nieboszczki pani bez siedem lat, pilnowałam pańskiego dobra, jak pan był za morzami, bez drugie siedm, potym znów z panem bez trzecie siedm, to razem dwadzieścia jeden. Zasług wybrałam po trochu za pięć lat, więc mi się należy za

szesnaście... Właśnie chciałam prosić, żeby mi pan wypłacił z łaski swojej.

— Teraz? w nocy?!

— A juści—jutro raniuteńko żydy do kolei jada, więc się z nimi zabieram.

— Dokąd? po co?

— Do Warszawy, panie — już ja tu nie mam co robić...

— Kobieto! co ty mówisz!

— Byłam dobrą i wierną służką dla nieboszczki pani, byłam taką i dla pana, pozostałabym do śmierci, ale nowej pani nie dogodzę.

— Jakiej nowej pani? Wojciechowa—dodał surowo, — jeżeliś się upiła, idź spać.

— Ja się upiłam!—zawołała baba—ja! chyba onym żalem, co go mam w sercu; chyba onemi łzami, com je pokryjomu wylała... Toż całe miasto mówi, że się pan żeni, całe miasto aż się trzęsie... Gdzie się obrócić: żydówki po sklepach, służące na ulicy, przekupki na targu przejść nie dadzą, tylko pytają: — a kiedyż wesele? kiedy wesele? Wyprzysięgam się jako żywo, że o niczym nie wiem, a oni mi fałsz w żywe oczy za-

dają... śmieją się ze mnie! Z początku myślałam, że to plotka, ale teraz widzę, że to prawda... Co mi tam do tego; chce się pan żenić, wola pańska, daj Boże szczęśliwie... ale ja na tych godach nie będę. Mam córkę chrzestną w Warszawie, dobra kobiecina, na Krzywym Kole sklepik trzyma; do niej pojedę i tam przebuduję do czasu, dopóki Pan Jezus nie zawoła...

Pan Dezydery był jak oszołomiony.

— Co ty pleciesz, kobieto?—rzekł.

— To co i całe miasto...

— I wierzysz temu?

— Wróble o tym śpiewają, czemużbym wierzyć nie miała?

— Więc jak ci się podoba... chcesz wierzyć—wierz, nie chcesz—nie wierz; chcesz mnie opuścić, zatrzymywać cię nie mam prawa—jedź z Bogiem; wolisz pozostać — zostań, — to ci tylko powiadam, że w plotkach, które powtarzasz, niema za grosz prawdy — ja to mówię, ja! a znasz mnie, że kłamać nie umiem.

— A paniel! przebacz babie, jeżeli powiedziała za dużo... ale ja tak naszą nieboszczkę panią kochałam!...

— Idź spać... a zapal mi wpierw lampę w moim pokoju.

— Ja się żenię, ja się żenię! — mówił do siebie półgłosem Dezydery — co za ironja! Choćbym nawet całą przeszłość wyrzucił z pamięci, choćbym zapomniał zupełnie... zupełnie... to z czymżebym nowe życie rozpoczął? cobym dał żonie? ja stary, rozgoryczony, zbolaty!... Sądziłem, że zbliżywszy się do tego domu, do tych ludzi, znajdę przyjaźń, życzliwość... oni to zrozumieli inaczej...

.

Nazajutrz raniutko pukał do drzwi doktora... Starowina w szlafroku, w czapeczce wyszywanej paciorkami, dreptał już po ogródku i suche gałązki na drzewach przycinał. Usłyszawszy, że ktoś do furtki kołacze, sam pośpieszył otworzyć.

— Przepraszam, kochany doktorze, że pana niepokoję tak rano—rzekł.

— To źle, a cóż panu jest?

— I nic—i bardzo dużo zarazem...

— Hm... a no, to chodźże pan do ga-

binetu, niech cię opukam, zobaczymy... pokażno jegomość język.

— Powtarzam, że mi nic nie dolega; możemy i tu pomówić, albo w ogródku...

— To źle, to źle, to coś bardzo niedobrego; nigdy jeszcze nie przyjmowałem pacjentów w ogrodzie, ale kiedy koniecznie sobie pan życzysz, to proszę. Siadajże jegomość na ławce, ot tutaj pod kasztanem i mów, co ci?... Mów szczerze; doktor jak ksiądz, tajemnicy nie wyda... Może cygaro? pobiegnę i przyniosę...

— Dziękuję, nie będę palił...

— To źle—no słucham...

Pan Dezydery opowiedział historję znajomości i stosunku z domem rejenta; doktor uśmiechał się tylko.

— A widzisz — rzekł wysłuchawszy relacji—widzisz... jak tylko spostrzegłem owe bukieciki, konfiturki, soczki—zaraz powiedziałem: źle!... bardzo niedobrze... gotowi mi wpędzić pacjenta w... małżeństwo, ale widzę, natura silna, opiera się... Masz jegomość rację, co ci po tym? w twoim wieku się żenić, zwłaszcza z młodą kobietą, z elegantką, lubiącą

świat, zabawy... to źle... Znam ja cię, kochany panie Dezydery, chociaż mi się nie zwierzałeś, wiem, żeś tu przyjechał szukać spokoju i odetchnienia, żeś chciał dobrze czynić dla drugich... oto: masz spokój!... Tak, tak... słusznie mówisz, trzeba wyjechać...

— Jak najprędzej.

— Dobrze; to się jakoś upozoruje... Spędzimy na wątrobę, na nerwy, albo na serce... Przyznaj jednak, jakie są różnorodne z organów naszych pożytki... Spędzimy, bądź spokojny... na cóżby? nie wiem jeszcze... może na płuca, zalecimy wyjazd i kurację, długą, bardzo długą...

— Powiedz im pan, ostrzeż ich, że jestem ciężko chory, że mogę lada dzień umrzeć...

— A nie! to właśnie byłoby źle... byłoby bardzo niedobrze.

— Dlaczego?

— Gdybym im powiedział, że niezawodnie umrzesz w sobotę, dołożyliby wszelkich starań, aby cię ożenić we czwartek; wszakże nie o osobę im chodzi, lecz o majątek. — Nie, panie Dezy-

dery, w naszym repertuarze lekarskim są choroby o wiele gorsze od śmierci... wynajdziemy też coś w dobrym gatunku. Jak ci się naprzykład podoba paraliż postępowy, hm? Śliczna choróbka!... przez długie lata można z nią żyć, być bezwładnym jak drewno, nie mówić, nie ruszać się wcale, i potrzebować takiej pieczołowitości, jak niemowlę. Powiem, że to panu zagraża, a jeżeli pani Stefania w takim razie zechce się wydać za pana, to przyznam, że z szaloną namiętnością pokochała... twoje pieniądze. Cóż, zgoda na paraliż?!...

— Zgoda na wszystko, kochany doktorze.

— Ja tam dziś będę, bo rejent na wątrobę narzeka—będę i mimochodem, niby od niechcienia, wspomnę, że ci taka bieda zagraża — a jegomość idź jutro, powiedz, żem ci wyjazd zalecił i pożegnaj ich zaraz, przejażdżka ci nie zaszkodzi, rozerwiesz się trochę, zobaczysz co nowego. Jedź do Wiednia, do Paryża, lub korzystaj z sezonu i morskich kąpeli użyj — ale wyjeżdżaj jak najprędzej. Gdy za pół roku, albo za rok po-

wrócisz, nie zastaniesz już pani Stefanji... Niecierpliwa to istota, babina z temperamentem. Ręczę za nią, że czasu tracić nie będzie. Frunie w świat szukać drugiego Dezyderego, i znajdzie go... ręczę za to.

.

Rejent siedział samotnie w kancelarji i zastanawiał się nad pewnym dość zawitym kontraktem, który miał przygotować na jutro, gdy wbiegła pani rejentowa.

Była do najwyższego stopnia wzburzona, pierś jej podnosiła się i opadała niby fala wezbranej rzeki, oczy miały błyskawice.

— Mężu — mówiła urywanym głosem — proszę cię... poślij natychmiast twoich świadków do Dezyderego!

— Dobrze, duszko — odrzekł, nie patrząc nawet na żonę, — ale dopiero za pół godzinki, gdyż Kukasiński teraz drzewo rąbie, a Rzodkiewkę posłałem właśnie po piwo. Nie uwierzysz duszko, jak mnie, dziś szczególnie, pragnienie męczy.

— Alboż to świadkowie! — zawołała z oburzeniem.

— Czyż nie wiesz? Piotr Kukasiński i Walenty Rzodkiewka podpisują wszystkie akty w mojej kancelarji. Rujnuję się na tych zbrodniarzy! po piętnaście kopiejek płacę im za jeden podpis... jak cię kocham!

Pani Marja padła na sofę i wybuchnęła spazmatycznym płaczem, rejent przeżony zerwał się z krzesła.

— Duszko! aniołku, co ci jest... co się stało?...

— Ach... czy ty zrozumiesz?... podłość, nieszczęście, hańba!...

— Na Boga, kobieto! co? jaka hańba?

— Ten niegodziwiec!

— Kto?

— A ten lotr, ten szaleniec, ten stary Donżuan!

— Donżuan? stary? tu w Piskorzewie?... Ja chyba się przesłyszał, Maryniu.

— Ha... ty nie wiesz... ty nic nie wiesz...

— Właśnie, chcę wiedzieć, powinienem wiedzieć, jako głowa domu, jako

mąż... Uspokój się, Maniu, obetrzyj oczy, odpowiedz. Może wody szklankę ci podać?

— Niepotrzeba... już nic niepotrzeba, jestem już uspokojona... o tyle przynajmniej, że mogę mówić o tym nieszczęściu; proszę cię, zamknij drzwi na klucz, i niech nam nikt nie przeszkadza. Czy nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy?...

— Jest w pierwszym pokoju dependent.

— Wypraw go, proszę, pod jakimkolwiek pozorem, niech idzie na miasto... zrób mu rekreację.

— Jak chcesz, duszko, chociaż to ostrożność zbyteczna... on udaje, że siedzi nad wypisem, ale przysiągłbym, że śpi... bo jest co najmniej po czterech kuflach. będzie mnie przeklinał, jeżeli mu przewrę miły spoczynek... zresztą, czyż nie możemy mówić cicho?... Nie usłyszy, drzwi grube... Mów, mów, kochanie, bo stoję jak na rozżarzonych węglach...

— Ach! otóż widzisz, ten szaleniec, ten łajdak, ten stary lowelas...

— Ależ kto?

— Dezydery... ten wasz poczciwy Dezydery!

— Cóż uczynił?

— I ty się pytasz? Bywał prawie codzień, przyląził ciągle, zanęcił się do naszego domu jak kot i rozkochał w sobie biedną Stefcie...

— Dezydery?! ależ to żarty, Maryniu.

— Żarty! Co chcesz, każda kobieta ma serce... przysyłał kwiaty, wzdychał, przewracał oczami... no i biedna kobieta... uczuła dla niego pewien rodzaj sympatii... przywiązała się do nikczemnika, tymczasem...

— Przepraszam cię, Maryniu... to jest, że tak powiem, coś nadzwyczajnego... Taki Dezydery... dziad!... to nie sposób, żeby młoda kobieta mogła się w nim rozkochać...

— A! nie znasz się na tym; są tajemnice serca. Nieraz wyrzucałam sobie, że ich nie zostawiam ani na chwilę sam na sam, że to mogło być Stefcie przykre... ale dziś... wdzięczna sobie jestem za tę ostrożność... Mogłyby być następstwa okropne.

Rejent z krzesła się zerwał.

— Maniu! — zawołał — co to za mistyfikacja!... ty mnie bierzesz na fundusz!

— Mówię zupełnie serjo... Czy wiele trzeba do nieszczęścia?... ach, mój drogi... tak zwany moment psychologiczny spada niespodzianie, jak piorun, jak aerolit z nieba... Każda z nas ma serce, ale, na szczęście, czuwałam jak matka... Boże! gdy pomyślę...

— Ale się przecież nic nie stało...

— Owszem, stało się, niestety.

— Maniu, dalibóg nie wierzę.

— Posłuchaj... przyłaził, bo nie powiem, że przychodził.

— No, w tym przyznaję ci słusność.

— Przyłaził, wzdychał jak miech kowalski, przewracał oczami jak puszczycy... przysyłał kwiaty...

— Nawiasem powiedziawszy, bardzo ładne.

— Tym gorzej, mój mężu, tym gorzej; mówił o smutku, o tęsknocie, o różnych rzeczach. Czy to wielka rzecz zawrócić głowę młodej kobiecie, która potrzebuje kochać, dla której miłość jest nieodzownym warunkiem istnienia, jedynym ce-

lem w życiu — więc też biedna Stefcia przywiązała się do niego szalenie.

— No, no; a ja miałem ją dotychczas za kobietę niegłupią...

— Nazwij to jak ci się podoba, szaleństwem, głupotą, czym chcesz, ale fakt jest faktem: potrzeba kochania... właściwość miękkiej, delikatnej natury kobiecej...

— Głupstwo!

— A ludzie widzą, ludzie patrzają, ludzie mają oczy; o przyszłym małżeństwie zaczęto mówić w całym mieście... Ja sama, zapytywana w tej materji, nie potwierdzałam, lecz i nie zaprzeczałam. Dziś, wyobraź sobie, szkaradny dziad przychodzi z pożegnaniem... Zmyśla bajeczkę, że stan zdrowia zmusza go do natychmiastowego wyjazdu... że powróci może za rok, może za dwa, a może wcale nie powróci; żegna się z nami, dziękuje za opiekę w chorobie, za grzeczność, za miłe chwile, jakie spędził w naszym towarzystwie i...

— I co?

— I nic... Powiada, że może się już

nie spotkamy nigdy, że dni jego są policzone, życzy szczęścia... Osiol!!

— A czegoż miał życzyć?!

— Niczego... powinien się był oświadczyć Stefci...

— No, oświadczyły, moje dziecko, jest to, bądź co bądź akt dobrej woli...

— Dobrej woli? no proszę... więc można w uczciwym domu prawie codziennie bywać?... można uczciwą kobietę kompromitować? narażać na obmowę, na plotki... A mój mężu, nigdy się tego do tobie nie spodziewałam. Zawsze byłeś nieprzychylny dla mojej rodziny, ale żeby aż do tego stopnia—nie przypuszczałam nigdy... nigdy! nigdy!!

I znów zalała się łzami.

— Więc przez Boga żywego, kobieto! cóż mam robić?!

— Poślij mu świadków natychmiast, w tej chwili, nie zwłócząc ani sekundy.

— Mówiłem ci już, że Kukasiński drzewo rąbie, a Rzodkiewka po piwo poszedł.

— O, mój panie, nie udawaj naiwnej!... wiesz dobrze, o jakich świadków chodzi. To sprawa honorowa...

— Pojedynkę!

— Tak, pojedynek, ja tego żądam, ja—kobieta!!

Rejent do pierwszego pokoju zajrzał i na cały głos zawołał:

— Panie Szrajberski! biegaj-no pan co żywo do sekretarza hypotecznego; niech ci na poczekaniu zrobi wypis nieruchomości Nr. 142 bb, przy ulicy Zawrotnej, sukcesorów Berka Noecha Ziegelhorna, tylko pędź natychmiast, bo rzecz wyjątkowo pilna...

Dependent pochwyił czapkę i przecierając oczy, wybiegł, a rejent, powróciwszy do żony, rzekł z gorzkim wyrzutem:

— A, Maryniu... doprawdy, żądasz za wiele ode mnie!...

— Zawiele?!

— Pojedynkę; bagatela... a wiesz ty, kto ja jestem? a znasz ty odnośny artykuł kodeksu kar głównych i poprawczych? wiesz, o czym on śpiewa?

— Wiem, że ty jesteś obrońcą honoru mego i mojej siostry...

— Honoru! ale jakąż rolę gra honor w tym wypadku? Wam się zdawało, że

Dezydery chce się żenić, jemu zaś wcale się nie zdawało, interes jest w porządku. Do takiego aktu, moja kochana, potrzeba dobrej woli obydwuch stron; jeżeli jedna tę dobrą wolę ma, a druga nie ma, akt nie przychodzi do skutku... Małe dziecko nawet to rozumie i dziwi się, że kobieta tak rozsądna, jak ty...

— Przepraszam pana — rzekła z oburzeniem rejentowa — żądam obrony honoru mej siostry; jeżeli pan dać mi tego nie możesz, odjeżdżam natychmiast i nie zobaczymy się więcej. Żądać będę separacji, a nawet rozwodu, i możesz być pan pewny, że ostatecznie znajdę jeszcze człowieka, który obowiązki obrońcy czci niewieściej inaczej pojmuwać będzie, niż pan...

Rejent, który kochał kapryśną swoją Marynię, przeraził się stanowczością jej głosu.

— Ależ — rzekł — moja duszko, daj jasną informację, powiedz wyraźnie, czego chcesz?

— Obrony honoru siostry, zemsty, zadosyćuczynienia... pošlij mu świadków i wyzwij go!...

— O nie! do wszystkich aktów świadków używam, ale do takiego nie głupim—wolę już sam pójść do niego.

— I wyzwiesz go?!

— Ba, a jeżeli przyjmie...

— To będziesz się z nim strzelał.

— Mogę zostać ranionym...

— Gdyby nawet... jest doktor, wyleczy cię...

— Hm, hm... nie spodziewałem się, że moje zdrowie, może nawet życie, jest ci do tego stopnia obojętne.

— A czy widziałeś biedną moją Stefcie?...

— Nie, cóż ona robi?

— Płacze...

— Po Dezyderym!?...

— Ty nie znasz serca kobiety, ty nie pojmujesz, jakie tam skarby uczuć...

— Pojmuje, pojmuje, wszakże mnie na pewną śmierć wysyłasz, a przecie jakkolwiekbyś, ale jestem twój mąż, przeżyłem z tobą zgodnie lat...

— O honor chodzi, o honor Stefci, o mój, o twój, o to, że roztrąbili po mieście, że ja nawet, nie wprost, ale pośrednio — prosiłam parę osób na wesele,

że... ostatecznie tak być nie może — on się ożenić musi! Ja nie żądam, żebyś go koniecznie zastrzelił, nie domagam się, żebyś go postrzelił, możesz nawet wcale nie strzelać, ale pójdz do niego, rozmów się z nim po męsku, energicznie, stanowczo... Ja cię za to sto, tysięcy razy serdeczniej kochać będę, niż dotąd... tylko proszę cię, zrób to dla mnie... koniecznie. No cóż? pójdziesz...

— Pójdę.

— Dziś?

— Dziś.

— I będziesz stanowczy...

— Jak kamień! Licha zje, jeżeli mnie ukruszy.

— Pamiętaj, mężu, że tu nietylko o Stefcię, ale o nas oboje chodzi...

Wojciechowa układała rzeczy w podróźnej walizie, pan Dezydery porządkował notatki, gdy rejent do pokoju wszedł.

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi — rzekł.

— Dobry wieczór, miło mi, że pana

rejenta widzę. Byłem dziś u państwa, ale nie zastałem pana.

— Czynność miałem na mieście... Kulikiewicz, uważa pan dobrodziej, młynarz, co ma dwa wiatraki na górcie, bardzo chory, wzywał mnie do testamentu. Mocno żałuję, że mnie pan dobrodziej w domu nie zastał... Pan dobrodziej, jak słyszę, wyjeżdża...

— Nie czynię tego z własnej woli...

— No? a cóż za przyczyna?

— Doktor mnie wypędza; wodami się leczyć każe, klimatem, więc cóż mam robić?...

— Naturalnie, ci panowie wyrokuja bez apelacji; radzi nieradzi poddawać się ich rozkazom musimy. Przynajmniej pogodę piękną będzie pan miał na drogę; barometr stale idzie w górę.

— Może kieliszek wina, rejencie?

— Chyba czerwonego i to z wodą sodową, ogromne pragnienie mam... Szczególna rzez, ile razy się zirytuje, zawsze mi się pić chce...

Pan Dezydery spojrział na rejenta uważnie i zapytał:

— Cóż szanownego pana tak podrażniło? jeżeli wolno zapytać.

— O! ten testament właśnie. Wyobraź sobie pan dobrodziej, co to są ludzie! Na łożu śmiertelnym leży, przed sądem Boskim lada moment stanie, a o nędzne honorarium targuje się jak żyd... Im który bogatszy, tym skąpszy, a co to pomoże, taksa jest stała. Obrzydliwe sknerstwo!...

Wojciechowa przyniosła wino i wodę... pan rejent gasił pragnienie.

— I w którą stronę świata pan dobrodziej się udaje?

— Do południowej Francji, do Włoch, może dalej, zależeć to będzie od stanu zdrowia...

— Pozazdrościć takiej wycieczki... Ja bo jestem wielkim amatorem podróży i doprawdy, gdyby nie kancelarja, włożyłbym się po świecie całemi latami... ale nie można. Wie pan dobrodziej, moja wątroba aż piszczy do Karlsbadu, a tu ani rusz...

— Dlaczego?

— Trzeba urządzić zastępstwo, a komuż je powierzyć? Mój Szrajberski

w gruncie niezły człowieczyna, tylko lubi się czasem upijać, o notarjacie ma takie pojęcie, jak kura o pieprzu, no i pieniędzy niebardzo mu można powierzyć. Gdyby nie te trzy małe felerki, byłby bardzo dobrym zastępcą i ja, naturalnie, mógłbym co rok Karlsbad odwiedzać... ale tak...

— W istocie to przykre położenie.

— Ha, cóż robić... Pozwoli pan dobrodziej, że mu zadam jedno pytanie, może niedyskretne, ale istotnie ciekaw jestem.

— Proszę bardzo.

— Co też się stanie z tym ślicznym domem, który pan wybudował?

— To już nie mój dom, panie rejencie?

— Sprzedał pan?

— Nie — ofiarowałem go miastu na szkołę.

— Skąd taka myśl?

— Dawno już ją miałem i jak pan zapewne uważał, budowałem dom na ten cel podług najnowszych wymagań higieny szkolnej. Nie chwaląc się, ale takiego budynku szkolnego, jak ten, nie

znajdzie pan w żadnym z naszych miasteczek. Właśnie przed godziną powróciłem od burmistrza, u którego złożyłem deklarację co do darowizny.

— Piękna ofiara, wspaniała ofiara — rzekł rejent, — ale kosztowna!

— Nie mam dla kogo zbierać pieniędzy, a do grobu ich z sobą nie wezmę. Niejedno byłbym zrobił dla miasta, ale wyjazd mi przeszkadza.

— Więc to nieodwołalne...

— Jutro raniutko już mnie tu nie będzie, konie zamówione na poczcie...

— W takim razie nic mi nie pozostaje, jak życzyć panu dobrodziejowi szczęśliwej podróży i pożegnać go... Rozumiem dobrze, że przed wyjazdem niebardzo pan ma czas... Zapewne to i owo i dziesiąte jest jeszcze do zrobienia, — a więc szczęśliwej drogi i rychłego powrotu... Zapisaleś się pan pięknie w pamięci miasta, taki hojny dar! taki dar!...

— Mała rzecz...

— A nie, panie dobrodziejku, nie, to duża rzecz, o tym w gazetach pisać będą...

.....

— No, Maniu — mówił rejent w pół godziny później do żony — możesz sobie powinszować, że masz męża pełnego energii... Żałuj, że nie widziałaś i nie słyszałaś, jak ja go przypierałem do muru — było co widzieć!

— Groziłeś?

— A naturalnie, wspomniałem o piśtoletach, o pałaszach, o krwi... ale chwala Bogu, dzięki mej stanowczości, wszystko się jak najpomyślniej skończyło...

— Więc się ożeni?

— Tylkoby jeszcze tego brakowało!

— A zatym?

— Duszko, podziękujmy Bogu, żeśmy się z wczasu spostrzegli i zerwali...

— My?

— Naturalnie, skorom zerwał, to w imieniu twoim, Stefcu i moim własnym... Możesz to powtórzyć przed całym miastem, że byłoby nieuczciwością z naszej strony powierzyć losy siostry w ręce varjata..

— Ach!

— Posłuchaj tylko, Maryniu, posłuchaj uważnie. Gdy na niego niasiadł po mojemu, jak to ja umiem, stanowczo,

zmieszał się ogromnie i zaczął pleść trzy po trzy, zupełnie bez sensu... Potym przyznał mi się, że ten piękny dom, który wybudował, już nie należy do niego...

— Tak?

— Wyobraź sobie, darował go miastu na szkołę.

-- Nie może być!...

— Niech burmistrz powie. W podobny sposób już zmarnował, lub zmarnować zamierza całe swoje mienie. W tego rodzaju sprawach mam niejaką biegłość i dość było jednego rzutu oka, abym ocenił sytuację. Manieczko, nie potrzeba tego rozgłaszać, ale ten człowiek, jeżeli teraz nie jest jeszcze zrujnowany, to zrujnuje się w bardzo szybkim czasie.. Pozostanie ta głupia willa, głupia powiadam, bo chociaż ładna i elegancka, jednak nie ma żadnej realnej wartości.

— W takim razie, mężu, dobrze się stało, żeśmy pierwsi zerwali, dziękuję ci z całego serca, żeś tak dobrze moją myśl zrozumiał.

To mówiąc, podała mu rękę, którą czuły małżonek do ust skwapliwie przy-

cisnął, uśmiechając się z miną tryumfującego dyplomaty.

— Zawsze mówiłam, że to jeszcze niedowiedzione — rzekła pani Marja — i przyznaję, że byłam w błędzie. Opinia publiczna rzadko się myli, Dezydery jest skończony warjat!

.

Pan Dezydery odjechał raniutko; stary doktor towarzyszył mu do najbliższego lasku, skąd miał pieszo powrócić. Przez drogę rozmawiali bezustanku. — O uszy pocztyljona ciągle obijały się wyrazy: komisja sanitarna, szpital, ogród miejski, skwer. Słyszał też pocztyljon, że doktor obiecywał pisać często i obszernie.

W lasku pożegnali się; doktor pieszo powracał do miasta, a pan Dezydery dążył do stacji, skąd po gładkich szynach wolna droga, choćby na kraj świata.

Nad brudnym, odrapanym Piskorzewem świeciło jasne słońce, ku wielkiej uciesze dam i pańien, które tego dnia zmobilizowały się i stanęły na stopie wojennej.

Ruch był ogromny, biegania wielka. Tyle do zakomunikowania sobie wzajemnego, tyle nowości! Zerwanie małżeństwa, wyjazd Dezyderego, ofiarowanie tak pięknego budynku na rzecz miasta... tyle materiału do rozmowy, do krytyki, taka obfitość sensacyjnych wieści!

Pani rejentowa przez cały dzień przyjmowała wizyty; drzwi się nie zamykały, przychodziły i wychodziły w nieustającej procesji dama za damą, panna za panną, dopytywały o szczegóły, słuchały objaśnień. Rejent uciekł, zamknął się w kancelarji i dyktował akty Szrajberskiemu, który coraz z niecierpliwością spoglądał na zegar.

— Kręcisz się pan — mówił rejent — piwko cię nęci, co?

— Broń Boże, panie rejencie, tylko wychodząc z domu, zostawiłem ciotkę mocno chorą i chciałbym się o jej zdrowie dowiedzieć.

Pocziwy skryba! co dwie godziny ciotkę odwiedzał, a że bawarja była po drodze — więc cóż miał robić — wstępował. W walce zwycięża silniejszy, a pokusa była właśnie silniejsza niż Szrajberski.

W trzy dni później pani rejentowa odwiozła siostrę do Warszawy, a po upływie pół roku, oboje rejentostwo pojechali tam na wesele.

Ładna wdówka znalazła sobie męża. Nie był to wprawdzie Dezydery, tylko Paweł, ale prawie taki, jak Dezydery, może trochę starszy, trochę bogatszy i łatwiejszy do złowienia w sidła kokieteryj. Jest uniżonym sługą i podnóżkiem swej żony, bo jak twierdzi pewna niewiasta pisząca, niema tak twardej skóry męskiej, któraby się nie dała przerobić na bardzo miękki i wygodny pantofel.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pani Stefanja pozwoliła się powtórnie w więzy małżeńskie skrępować, Dezydery powrócił do Piskorzewa i rozwinął, ku wielkiemu zgorszeniu mieszczan i żydów, energiczną działalność, w czym bardzo mu dopomagał stary doktor.

Dziwak nie szczędził pieniędzy i ciągle miastu różne robił prezenty, a wobec jego ofiarności i uporu, opozycja musiała ustąpić. Piskorzew trochę porządniej wygląda; zamiast brudnej kałuży na

środku rynku jest skwer, ulice drzewami powysadzone, podczas nocy w pryncypalnych punktach miasta pali się dwaście latarni. Szkoła funkcjonuje, a murarze zakładają fundamenty pod szpital... kosztem pana Dezyderego... Stary doktor pilnuje budowy i... fundatora.

To drugie trudniejsze było. Dezyder nie doczekał końca budowy szpitala — umarł.

Na pogrzebie było mnóstwo osób, całe miasto, i inteligencja, i mieszczenie, i żydzi. Gdy powracano z cmentarza, każdy do powiedzenia coś miał.

Biedacy wdychali, Wojciechowa, chociaż obdarzona sporym, za wierną służbę zapisem, rozpadała się z żalu za dobrym panem, inteligencja krytykowała, zebrawszy się w gromadkę, do której przyłączył się także poważny obywatel i kupiec okowity, wielce szanowny pan Symcha Grünbaum.

— Mówcie państwo co chcecie — rzekł burmistrz, — ale nieboszczyk był obywatel... moje uszanowanie!

— Warjat, ale w gruncie niezgorzyszy — dodała rejentowa.

— Miewał jednak «lucida intervalla», dorzucił aptekarz, który nie zapomniał, że w krytycznej chwili Dezydery mu przyszedł z pomocą.

— A jakież pańskie zdanie, doktorze? — spytał rejent.

— Pod jakim względem?...

— No, niby co do poczytalności nieboszczyka; ostatecznie teraz, gdy umarł, można mówić szczerze. Czy miał bzika, czy nie? Pan powinieneś się znać na tym.

— Ależ — odezwał się eksposędek — że mu brakowało piątej klepki, to fakt...

— Dziwak był!

— Nie — rzekł doktor — mogę państwa zapewnić, że miał władze umysłowe w zupełnym porządku, tylko widział dalej, niż my — i dlatego nazwałbym go oryginałem...

— Ładne słowo — odezwał się Symcha Grünbaum — bardzo ładne słowo! U nas powiadają, że każde miasto ma swego warjata, ale szkoda, że nie wszystkie warjaty bywają takie wspaniałe.

72 799

Tom po kop. 30.

J. I. KRASZEWSKIEGO
POWIEŚCI HISTORYCZNE

obejmujące

Dzieje dawnej Polski

29 powieści, stanowiących 78 tomów.

Stara Baśń, 3 tomy.

Lubonie, 2 tomy.

Bracia Zmartwych-
wstańcy, 3 tomy.

Masław, 2 tomy.

Boleszczyce, 2 tomy

Królewscy synowie, 4 t.

Historja prawdziwa o
Petrku Właście 2 t.

Stach z Konar, 4 t.

Waligóra, 5 tomy.

Syn Jazdona, 3 tomy.

Pogrobek, 2 tomy.

Kraków za Łoktka, 2 t.

Jelita, 2 tomy.

Król chłopów, 4 tomy.

Saskie ostatki, 2 tomy.

Biały książę, 3 tomy.

Semko, 3 tomy.

Matka Królów, 2 tomy

Strzemieńczyk, 2 tomy

Jaszko Orfan, 4 tomy

Dwie królowe, 3 tomy

Infantka, 3 tomy.

Banita, 3 tomy.

Bajbuza, 3 tomy.

Na królewskim dworze

3 tomy.

Boży gniew, 2 tomy.

Król Piast, 2 tomy.

Notatki Polanowskiego

2 tomy.

Za Sasów, 2 tomy.

Cena za całość (29 powieści—78 tomów) rb. 18.

Przedpłatę można także składać w 9 ratach po rb. 2

(W prenumeracie wypada tom po 23 $\frac{1}{2}$ kop.).

W oprawie cena za całość rb. 33.

(78 tomów oprawione są w 33 książkach).

POLSKA w roku 1793.

PAMIĘTNIK HISTORYCZNY

według
podróży*Fryderyka Szulca*Nowe wydanie wyczerpanej a nader poszukiwanej
książki.

rb. 1.20